

Niech szczęzną studenci!

17 maja 2007

Od pewnego czasu hasłem przewodnim demonstracji organizowanych przez ugrupowania lewicowe stało się żądanie „bezpłatnych” studiów. Jest to część prowadzonej przez nie kampanii przeciwko projektowi wprowadzenia bezpośredniej odpłatności za studia wyższe na państwowych uczelniach. W ostatnim czasie manifestacje pod tym hasłem organizowały młodzieżówka SdRP, PPS i Lewicowa Alternatywa.

Rzecz jasna, tak naprawdę nie ma czegoś takiego jak „bezpłatne” studia czy w ogóle „bezpłatne” szkolnictwo. Nauczyciele, pracownicy naukowci, administracja i pozostali pracownicy państwowych szkół i uczelni dostają regularnie pieniądze za to, co robią. Ktoś im zatem płaci. Ten „ktoś” to my wszyscy, przymusowo płacący podatki zasilające budżet państwa.

Żądanie „bezpłatnych” studiów jest więc tak naprawdę domaganiem się, by nauka studentów na państwowych uczelniach była przymusowo finansowana przez całe społeczeństwo. Wystarczy chwila zastanowienia się, by zauważyć, że ten postulat nie ma nic wspólnego z hołubionymi ponoć przez lewicę ideami wolności i równości. Oto lwia część społeczeństwa – ciężko pracujący robotnicy, chłopci, pracownicy umysłowi, rzemieślnicy, kupcy, przedsiębiorcy – ma płacić pod przymusem daninę na kilka procent korzystających z przywileju nauki na państwowych uczelniach wyższych. Co prawda i w przypadku płacenia podatków na szkoły podstawowe czy średnie faktem jest, że odbywa się to pod przymusem i że osoby nie mające dzieci lub posyłające je do szkół prywatnych zmuszone są płacić za usługi państwowych szkół, z których nie korzystają. Ale w przypadku studiów wyższych jest to widoczne szczególnie jaskrawo: masy zmuszone płacić na garstkę uprzywilejowanych.

Dość powszechny jest tu argument, że z wykształcenia tych

kilku procent „korzystamy przecież wszyscy” i że nie musi to być wcale kilka procent – najlepiej, gdyby każdy, kto chce, miał możliwość studiowania na wyższej uczelni i zdobycia dyplomu. Przypatrzmy się więc temu argumentowi dokładnie. Niewątpliwie społeczeństwo w jakiś sposób korzysta na tym, że pewni jego członkowie dysponują wiedzą pozwalającą na wykonywanie bardziej skomplikowanych prac – takich, jak np. leczenie, projektowanie maszyn i budynków, pisanie programów komputerowych, opracowywanie nowych technologii, zarządzanie przedsiębiorstwami wymagającymi współpracy dużych grup ludzi czy porozumiewanie się z cudzoziemcami. Ale umiejętności tych ludzi są przez to społeczeństwo w wymierny sposób wynagradzane, i to na ogół dobrze. Wykwalifikowany lekarz, architekt, programista, tłumacz, menedżer czy inżynier pobiera za swe usługi opłatę od tych, którym je świadczy. O ile tylko na ich usługi istnieje wystarczający popyt, kształcenie się do ich wykonywania jest dobrą inwestycją i przeważnie znajdzie się wystarczająca liczba chętnych do jej uczynienia – czego dowodem może być duża liczba kandydatów na rozmaite uczelnie prywatne. A jeśli nawet zdarzy się tak, że potencjalni kandydaci są zbyt biedni, by zainwestować w swe wykształcenie, to znajdzie się ktoś inny, kto w nie zainwestuje – dla swych własnych korzyści. Firmy fundujące zdolnym studentom stypendia nie są znowu tak rzadkim zjawiskiem.

Chciałbym tu zwrócić jednak uwagę, że o wiele częstszym przypadkiem jest tu fakt opłacania przez różne firmy swoim pracownikom (często świeżo przyjętym) wyspecjalizowanych kursów i szkoleń potrzebnych w danej pracy. Pracownicy ci często mają ukończone studia wyższe, co świadczy o tym, że studia te nie wystarczają do zdobycia kwalifikacji wymaganych na tych stanowiskach, a często prawdopodobnie również o tym, że są one w ogóle do pracy na tych stanowiskach zbędne. Posłużę się tu konkretnym przykładem z mojej własnej pracy: firma zdecydowała się opłacić mi cykl kursów i egzaminów niezbędnych do uzyskania tzw. CNE – certyfikatu świadczącego o kwalifikacjach specjalisty z zakresu administrowania sieciami

komputerowymi w systemie Novell NetWare. Będzie to kosztować niemalże dziesięć tysięcy złotych – dla porównania semestr zaocznych studiów informatyki na politechnice kosztuje nieco ponad dziewięćset złotych. Dwaj moi koledzy idą na podobny cykl kursów związany z certyfikatem Microsoftu (administrowanie systemem Windows NT). Ja nie mam żadnego dyplomu wyższej uczelni (a moje studenckie doświadczenie nie miało z komputerami nic wspólnego), oni są po studiach na politechnice. Jednak zarówno fakt, że radzę sobie w pracy nie gorzej od nich, jak i fakt, że wszyscy musimy przejść dodatkowe szkolenie w celu wystarczającego do uzyskania certyfikatów wyspecjalizowania się w naszych dziedzinach świadczy o tym, że studia wyższe nie są do tej pracy konieczne.

Tam, gdzie wykształcenie akademickie rzeczywiście jest konieczne, znajdzie się ktoś, kto w nie zainwestuje – podobnie jak znajduje się taki ktoś tam, gdzie konieczne jest wykształcenie innego typu, takie jak wspomniane kursy. W tym ostatnim przypadku nikt nie domaga się, by były one opłacane z naszych podatków, podobnie jak nikt nie domaga się tego w przypadku np. prawa jazdy. Uważa się słusznie, że takie wykształcenie jest wystarczająco dobrą inwestycją, by znalazły się nań pieniądze i że jeśli przyniesie ono korzyści innym członkom społeczeństwa, to zapłacą oni sami za jego efekty. Dlaczego więc akademickie studia wyższe mają być tu wyjątkiem?

Jest tu i druga strona medalu: jeżeli osoby po ukończonych studiach wyższych pracują na stanowiskach nie wymagających w rzeczywistości takich studiów, oznacza to, że pieniądze wydane na ich wykształcenie na uczelni zostały zmarnowane. Wprawdzie jest możliwe, że niektóre z nich zmieniają pracę i będą jeszcze pracować w zawodzie odpowiadającym ich akademickiemu wykształceniu, ale nie zmienia to podstawowego problemu: jeżeli wyższe uczelnie wypuszczają więcej specjalistów z danej dziedziny, niż może być dla nich stanowisk pracy, to zawsze część z nich będzie musiała pracować w „nie swoim zawodzie” i

tym samym część pieniędzy wydanych na ich wykształcenie będzie marnowana. Owszem, dana osoba może uznać, że bardziej opłaca się jej zaryzykować zmarnowanie pieniędzy i uzyskać kwalifikacje z tej czy innej dziedziny po to, by mieć większą szansę znalezienia pracy nawet jeśli potem okaże się, że nie będą one konieczne. Ale dlaczego koszty tego ryzyka mają przymusowo ponosić wszyscy inni? Niewątpliwie łatwiej jest zmarnować cudze pieniądze niż własne.

„Bezpłatność” studiów zwiększa prawdopodobieństwo, że wydane na nie pieniądze zostaną zmarnotrawione. Jest tak po pierwsze dlatego, że decydującą rolę w przydzielaniu pieniędzy na poszczególne kierunki kształcenia odgrywają naciski ze strony zatrudnionej na uczelniach kadry, a nie faktyczne zapotrzebowanie gospodarki na określonych specjalistów. W przypadku uczelni prywatnych, gdzie pieniądze pochodzą z kieszeni samych studentów (lub osób zainteresowanych w takim a nie innym ich wykształceniu), są one przeznaczane na naukę w tych specjalnościach, które studenci lub ich sponsorzy uznają za najlepszą inwestycję, czyli głównie takich, na które istnieje (lub jest przewidywany) duży popyt wyrażający się wysokimi płacami. W przypadku finansowanych z budżetu uczelni państwowych pieniądze są kierowane zgodnie z „zapotrzebowaniem” na nie ze strony już zatrudnionych pracowników naukowych i przeznaczane na naukę w ich specjalnościach. Popyt na te specjalności jest tu sprawą drugorzędną – jeśli istnieje liczna kadra filozofów czy bibliotekoznawców, trzeba im zapewnić pensje (zwłaszcza, że samodzielnych pracowników naukowych nie można tak po prostu zwolnić). Dziesięć lat temu na Uniwersytecie Śląskim (jeszcze za „komuny”) studenci każdego wydziału i kierunku mieli na pierwszym roku obowiązkowe zajęcia z filozofii. Większości studentów nie było to najprawdopodobniej do niczego potrzebne, ale do prowadzenia tych zajęć potrzebna była dość liczna kadra. Potem utworzono dzienne studia filozoficzne, na które przyjmowano kilkanaście osób na rok. I było tak do momentu, kiedy zniesiono obowiązkowe zajęcia z filozofii na innych

wydziałach. Wówczas to, aby kadra miała zajęcie, zaczęto przyjmować na pierwszy rok filozofii wszystkich chętnych – średnio około stu osób. Po pierwszym roku robi się „odsiew”, ale pracownicy instytutu filozofii mają z kim prowadzić zajęcia i dostawać za to pieniądze. Dodatkowo wprowadzono jeszcze studia zaoczne. A najciekawsze jest to, że i tak wielu absolwentów tych studiów (chyba większość) i tak nie pracuje w zawodzie filozofa, ponieważ mimo sztucznego rozdęcia zajęć nowych pracowników przyjmuje się niewiele.

Drugą przyczyną marnotrawstwa, współgrającą z pierwszą, jest to, że w systemie „bezpłatnych” studiów zawsze znajdują się kandydaci na studentów kierunków, na które nie ma rzeczywistego zapotrzebowania. Przyjmowanie wszystkich chętnych na pierwszy rok filozofii nic by nie pomogło, gdyby tych chętnych nie było, albo było ich bardzo mało. Ale chętni są, mimo iż szanse pracy w zawodzie filozofa są niewielkie (pomijam tu chwilowo fakt, że nawet istniejące zapotrzebowanie na zawodowych filozofów – tzn. ludzi kształcących następnych zawodowych filozofów – jest kreowane sztucznie i w gruncie rzeczy samo jest marnotrawieniem pieniędzy: będzie o tym mowa poniżej). Podobnie jednym z najbardziej popularnych kierunków podczas ostatniego naboru na studia na Uniwersytecie Śląskim było bibliotekoznawstwo, mimo iż wolnych etatów w bibliotekach w województwie katowickim jest bardzo mało (bodajże aktualnie jeden czy dwa) i nic nie wskazuje, by miałyby być ich więcej. Jest tak dlatego, że potencjalni studenci nie musząc płacić z własnej kieszeni ani szukać sponsorów nie tracą nic nawet studiując specjalności, w których szanse na przyszłą pracę są niewielkie. Zawsze jest to jakaś dodatkowa szansa, a zresztą liczy się tu już nie tyle sama specjalność (wątpię, czy większość studentów bibliotekoznawstwa marzy o pracy w bibliotece), co papierek z tytułem magistra. Jest bowiem faktem, że wielu pracodawców przychylniej patrzy na osoby mogące się wylegitymować „magistrem”, nawet jeśli ukończyły one studia w specjalności zupełnie nie związanej z danym zawodem, niż na nie posiadających takiego tytułu. W

rzeczywistości kwalifikacje magistra filozofii w firmie komputerowej są zbędne (no, może z wyjątkiem języka obcego, ale tego akurat można nauczyć się poza systemem akademickich studiów), a jeśli pracodawca przychylniej patrzy na takiego magistra niż na nie-magistra, jest to moim zdaniem wynikiem nadmiaru absolwentów wyższych uczelni wykształconych w specjalnościach, na które nie ma rzeczywistego zapotrzebowania (w przeciwnym razie nie byłoby tak dużej podaży magistrów na rynku pracy i pracodawcy nie mogliby stawiać często spotykanego w ogłoszeniach warunku „wykształcenie wyższe”). Dochodzi tu jeszcze irracjonalna wiara w „ogólne” lepsze wykształcenie kogoś, kto ukończył wyższą uczelnię; jeżeli w różnego rodzaju statystykach i ankietach widnieje rubryka „wykształcenie” i jeżeli każdy, kto ukończył wyższą uczelnię aprobowaną przez władze jest tam traktowany jako „wyżej” wykształcony od każdego, kto ma tylko wykształcenie „średnie”, „zawodowe” czy nie daj Boże „podstawowe” (choćby tamci mieli pokończone dziesiątki specjalistycznych kursów, byli w swych dziedzinach cenionymi i rzadkimi fachowcami, znali lepiej obce języki i przeczytali dużo więcej książek), to nic dziwnego, że wielu ludzi myśli o takim „wyżej wykształconym” jako o swego rodzaju nadczłowieku, który posiadał nieosiągalną dla plebsu wiedzę. W gruncie rzeczy samo sformułowanie „wykształcenie wyższe” sugeruje już, jak powinniśmy myśleć o jego posiadaczu.

Marnotrawstwo występuje nie tylko wówczas, gdy ktoś po ukończeniu studiów na jakimś kierunku pracuje na stanowisku, na którym studia te są zbędne. Występuje ono również wówczas, gdy ktoś po ukończeniu studiów pracuje w „swojej” specjalności, ale jego stanowisko pracy jest stworzone sztucznie przez państwo przy pomocy pieniędzy wydartych podatnikom. Nie zawsze da się sprawdzić, czy tak jest w istocie (obecnie ktoś może być opłacany z pieniędzy państwowych, ale niewykluczone, że mimo wszystko istnieje rzeczywiste zapotrzebowanie na jego pracę i że na wolnym rynku pracowałby on na podobnym stanowisku – jest to np. zapewne prawdą dla większości lekarzy i wielu nauczycieli). Jednak w

pewnych przypadkach można powiedzieć, że dany rodzaj pracy jest czystym marnotrawstwem. Na przykład praca zawodowego filozofa (czyli kogoś, kto ukończył studia filozoficzne i pracuje w „swojej” specjalności) polega na kształceniu kolejnych zawodowych filozofów. Robi on to za pieniądze państwowe, tj. zabrane pod przymusem podatnikom. Oznacza to, że społeczeństwo daje pieniądze tylko na to, by... dawało w przyszłości pieniądze na to samo. Część z nowo wykształconych zawodowych filozofów pójdzie pracować w „nie swoich” zawodach i już to będzie marnotrawstwem; część zostanie przyjęta na uczelnię, by kontynuować reprodukcję zawodowych filozofów. Przypomina to rodzaj raka, gdzie komórki nowotworowe (zawodowi filozofowie) wysysają z organizmu (społeczeństwa) siły żywotne (pieniądze = dobra materialne), aby produkować następne komórki nowotworowe, nic nie dając społeczeństwu w zamian. Co prawda niektórzy zawodowi filozofowie mogą być rzeczywiście filozofami i tworzyć jakieś dzieła filozoficzne, jednak wcale nie jest powiedziane, że społeczeństwo czy jego poszczególni członkowie odnoszą z tych dzieł jakąś korzyść. Mam wrażenie, że czasem bywa wręcz odwrotnie. A ekonomiczny popyt na te dzieła (czyli to, ile społeczeństwo chce dobrowolnie dać w zamian za możliwość zapoznania się z nimi) jest na ogół niezbyt duży.

To tyle, jeśli chodzi o „korzystanie nas wszystkich” z faktu, że niektórym umożliwia się akademickie kształcenie na koszt reszty. A co do umożliwienia wszystkim „bezpłatnego” studiowania...

Skoro już w chwili obecnej sporo pieniędzy idących na kształcenie studentów państwowych uczelni wyższych jest marnowanych, to można sobie wyobrazić, ile byłoby ich marnowanych, gdyby każdy z nas był magistrem czegoś tam. Do pracy na większości stanowisk w gospodarce akademickie wykształcenie nie jest konieczne, tak że większość z nas mimo tytułu magistra musiałaby pracować i tak w „niemagisterskich” zawodach (również jako „fizyczni”, bo zwiększenie się liczby

magistrów nie spowoduje, że zmaleje zapotrzebowanie na robotników). Za to na stanowiska rzeczywiście wymagające akademickiego wykształcenia byłaby dużo większa konkurencja, co najprawdopodobniej zaowocowałoby spadkiem płac. Ci, którzy rzeczywiście chcieliby pracować na tych stanowiskach, poddani byłiby presji robienia doktoratu, potem habilitacji... co tylko niepotrzebnie zwiększałoby koszty (ponoszone przez wszystkich!), bo tam, gdzie potrzebna jest wiedza magistra, niekoniecznie potrzebna jest wiedza doktora habilitowanego. A ci nieliczni, którzy nie mieliby tytułu magistra, mieliby na rynku pracy gorzej, mimo iż często ich umiejętności byłyby całkowicie wystarczające.

Pozostaje jeszcze argument: skoro jednak i tak musimy wszyscy płacić podatki, to czy nie lepiej, aby szły one na kształcenie części społeczeństwa (nawet jeśli część tych pieniędzy miałaby się zmarnować), niż na dopłaty do nierentownych zakładów, biurokrację, dotacje do rolnictwa, diety poselskie (w zależności od poglądów pytającego niepotrzebne skreślić)? Odpowiem egoistycznie: jeśli już mam płacić podatki, to najlepiej, jakby były one jak najniższe i szły na takie rzeczy, z których rzeczywiście korzysta większość społeczeństwa, bo wtedy mam największą szansę, by samemu z nich skorzystać. Wolałbym, żeby dofinansować z nich służbę zdrowia, gospodarkę komunalną czy ochronę środowiska, a jeśli już czyjeś studia, to medycynę (większość z nas potrzebuje od czasu do czasu usług lekarza) i ewentualnie niektóre kierunki techniczne, a nie filozofów produkujących następnych filozofów, bibliotekoznawców, dla których nie ma pracy w bibliotekach czy artystów, którzy będą domagać się od państwa kasy na kręcenie filmów oglądanych tylko przez garstkę znajomych. Nie ma tu dla mnie różnicy pomiędzy nimi, a Wrzodakiem, Lepperem czy Kwaśniewskim. Może nawet wolałbym, żeby pieniądze dostawali ci ostatni, bo jeśli stracę pracę, to nie oni będą moimi konkurentami, ale panowie magistrów, którzy będą mogli pomachać papierkiem ze skrótem „mgr” potencjalnym pracodawcom.

Oczywiście to wszystko nie przekona studentów, kandydatów na studentów i pracowników naukowych, w których interesie jest „bezpłatność”. To zrozumiałe: każdy woli, by ktoś inny pokrywał jego koszty. Będą wymyślać dziesiątki powodów, dla których społeczeństwo powinno na nich płacić i to jak najwięcej, podobnie jak związkowcy z Ursusa, firmy przymierzające się do budowy autostrad, rolnicy, urzędnicy, wojsko, posłowie i rząd. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, albo, po marksowsku: byt określa świadomość. Może więc lepiej rzucić hasło: niech szczezną (tacy) studenci...?

Autor: Jacek Sierpiński

Źródło: [„Mać Pariadka” nr 5-6/98](#)